

Poruszający obraz świata, w którym żywność szmugluje się w trumnach, zarżniętą świnie przebiera za staruszkę, by uniknąć niemieckiej kontroli, a hitlerowska propaganda tłumaczy wychudzenie Polek dbaniem o figurę

W czasie okupacji głód był powszechny, lecz budził w Polakach niesamowite pokłady kreatywności. Pustym brzuchom próbowano zaradzić, gotując praktycznie z wszystkiego i przełamując wszelkie żywieniowe opory. Generał Bór-Komorowski zjadł kota w śmietanie i nawet o tym nie wiedział.

Aleksandra Zaprutko-Janicka otwiera przed czytelnikiem domowe kuchnie, zaplecza restauracji, zatęchłe spiżarnie, podgląda uliczne targowiska i kryjówki szmuglerów z okresu II wojny światowej. To opowieść o czasach, w których za nielegalne świniobicie można było trafić do Auschwitz, warzywa hodowano w podwórkach kamienic, żołędzie wykorzystywano na kilkanaście sposobów, a zużyтыми fusami handlowano na czarnym rynku.

To także niezwykła książka kucharska: pełna oryginalnych przepisów i praktycznych porad. Możesz sprawdzić, jak dziś smakują okupacyjne rarytasy! I odkryć wiele zapomnianych potraw.

*Okupacja od kuchni* to nie tylko historia walki z głodem – to przede wszystkim opowieść o polskiej zaradności i harcie ducha!

**Aleksandra Zaprutko-Janicka** – historyczka i publicystka. Współzałożycielka portalu „Ciekawostki historyczne.pl”.

ISBN 978-83-240-3428-0

MBP Cieszanów  
Okupacja od kuchni : kob...



9 788324

0000025985

Cena 39,90 zł



ekawostki  
staryczne.pl

E-book dostępny na  
**woblink.com**

OKUPACJA OD KUCHNI  
KOBIECA SZTUKA PRZETRWANIA  
ALEKSANDRA  
ZAPRUTKO-JANICKA

PRAKTYCZNE CIEKAWOSTKI HISTORYCZNE.PL



# OKUPACJA OD KUCHNI

KOBIECA SZTUKA PRZETRWANIA

*Pierwsza książka o kulinarnej zaradności Polek  
w czasie II wojny światowej*

ALEKSANDRA ZAPRUTKO-JANICKA



W Wielką Sobotę 24 kwietnia 1943 roku Ludwik Landau notował w *Kronice lat wojny i okupacji*: „Jutro Wielkanoc. Jest na mieście zwykły ruch przedświąteczny – ale o prawdziwym świątecznym nastroju trudno mówić. Na to za dużo każdy ma wspomnień świeżych z jednej, a obaw z drugiej strony”.

Nastroje były minorowe, a wiele pań domu – w obliczu problemów aprowizacyjnych i rodzinnych tragedii – zastanawiało się, czy w zaistniałych warunkach jest w ogóle sens urządzić święcone. Uroczyste śniadanie po rezurekcji wydawało im się czymś zupełnie nieprzystającym do okupacyjnej rzeczywistości. Wątpliwości były powszechne, ale decyzja niemal zawsze taka sama. Świętować po prostu trzeba, nawet w cieniu śmierci i wśród wszechogarniającej biedy. Nie chodziło wcale o samo podtrzymanie tradycji. Polki wiedziały, że to właśnie te szczególne, spędzane w gronie rodziny i przyjaciół okazje pozwalają zachować polską tożsamość i ludzką godność. W tajemnicy przed okupantem obchodzono Wigilię i Wielkanoc, bawiono się na imieninach i na weselach. Na każdą z tych okazji Polki miały swoje sposoby. Byle tylko zademonstrować Niemcom, że nie pozwolą sprowadzić się do roli pozbawionego kultury bydła.

## Wielkanoc bez pisanek?

„Pamiętam osobliwe święconki w Wielką Sobotę. Zamożne gospodynie ustawiały odkryte kosze dwoma rzędami wzdłuż kościoła, środkiem szedł ksiądz i je święcił, a za nim podążali głodni, umorusani chłopcy, dzieci niczyje, wojenne sieroty i zapamiętywali, gdzie jest najwięcej jajek i wędlin” – wspominała Kazimiera Toniał z Hrubieszowa. Przyszła pamiętnikarka we wrześniu 1939 roku była zaledwie pięcioletnią dziewczynką. Nie wiele rozumiała na temat wojny i niemieckiego bestialstwa, ale nierówności w okupacyjnym społeczeństwie były dla niej sprawą zupełnie oczywistą. Dalej opowiadała:

*Potem kobiety stawiały swoje kosze przed bocznym ołtarzem św. Antoniego, a same szły pomodlić się do grobu Chrystusa. Chłopcy w tym czasie porywali najcięższe kosze, uciekali z nimi w krzaki nad rzekę i tam wyprawiali sobie Wielkanoc. Ile było krzyku i zamieszania, kiedy właścicielki koszy nie mogły uwierzyć, iż ktoś mógł je ukraść z kościoła. Gdyby zobaczyły tych 10–12 letnich obdartych chłopców, pewnie by im wybaczły. Tak jak święty Antoni, co koszy nie upilnował...*

Wśród kobiet, które małej Kazimierze wydawały się „zamożnymi gospodyniami” pewnie nie brakowało żon szmuglerów, zaradnych volksdeutschów i szmalcowników. Były tam jednak również zwykłe Polki, których życie w żadnym razie nie rozpieszczało. Borykały się na co dzień z głodem i biedą. Z uwagi na własne dzieci lub na głębokie pragnienie normalności ten jeden raz sięgały po zaskórniaki lub zapożyczały się, byle mieć prawdziwą Wielkanoc. Utrata świątecznego koszyczka była dla nich prawdziwą tragedią – i przekreślała często wielotygodniowe przygotowania.

W ramach tych ostatnich, należało po pierwsze zadbać o piękne przystrojenie wielkanocnego stołu. Miało to nawet większe znaczenie niż przed wojną. Z powodu drożyzny i sklepowych niedoborów nie sposób było wywołać świątecznego nastroju samymi potrawami. W jaki sposób panie domu dekorowały stół? „Nowy Kurier Warszawski” słowami swojej publicystki podpowiadała:

*Niewielu stać na kupno efektownych, ale drogich kwiatów. Dlatego też najlepiej jest wybrać się którejś niedzieli na dalszy spacer i wyciąć parę gałązek wierzby. Po przyniesieniu do domu wsadzimy je do słoja, czy wazonu z wodą, a wkrótce puszczą ładne pędy, dając miłą zieleń na święta.*

Oprócz wierzby gadzinówka polecała także misterne konstrukcje z rzeżuchy. Ta drobna zielona roślina w umiejętnych dłońach i przy odrobinie inwencji mogła się zmienić w piękną dekorację. Wystarczyło namoczyć dobrze ziarenka i posiać ją odpowiednio wcześnie, używając specjalnego „stelażu”. Mogła nim się stać odwrócona doniczka obłożona mokrą szmatką, ładny wazon lub inne podobne naczynie. Po wysianiu rzeżuchy należało odstawić ją na dwa tygodnie w ciepłe miejsce. Po tym czasie dekoracja stołowa była gotowa i w dodatku mogła służyć za dodatek do sałatek i sosów.

Przed samymi świętami zaczynał się wzmożony ruch w handlu. W cukierniach pojawiały się wypieki z napisem „Wesołego Alleluja”, a na sklepowych wystawach pyszniły się wielkanocne kurczaczki z żółtego lukru, czekoladowe zajączki i piękne okolicznościowe pocztówki. Przygotowywanie i sprzedawanie świątecznych wypieków dla wielu zaradnych gospodyń było sposobem na podreperowanie domowego budżetu. Warszawianka Hanna Kramar-Mintkiewicz wspominała, że jej mama



Nawet najskromniejszy wystrój świątecznego stołu pomagał chociaż na chwilę zapomnieć o upokorzeniach związanych z okupacją. Symboliczny posiłek i ręcznie wykonane ozdoby przywracały nadzieję na godne życie w wolnej Polsce. Na zdjęciu stolik ze święconką, Wielkanoc w 1944 roku.

piekła ciasta, a ona „pomagała przy roznoszeniu, przed świętami zwłaszcza, jakichś mazurków”. Na to wszystko trzeba jednak było mieć pieniądze. Prawdziwe rarytasy, gwarantujące Wielkanoc w przedwojennym stylu, były zresztą dostępne wyłącznie na czarnym rynku. Kto chciał mieć święta z tradycyjnymi daniami, musiał słono zapłacić. Większość Polek była zdana głównie na swoją zaradność. Gdyby w pełni oddały swój los w ręce pokątnych handlarzy, jednymi świętami doprowadziłyby swoje rodziny do bankructwa.

Święcone – a więc uroczyste śniadanie w poranek wielkanocny – było tradycyjnie jednym z najważniejszych „wydarzeń kulinarnych” w roku. Przedwojenne gospodynie wzbijały się na wyżyny swoich kulinarnych możliwości i umiejętności, piekąc kolejne baby, mazurki, rzeźbiąc w maśle baranki i ozdabiając pisanek. Oprócz tego na stołach gościły przede wszystkim zimne mięsa, zgodnie z zasadą, że w samo święto nie należy już niczego gotować.

Królowała, podobnie jak i dzisiaj, wieprzowina, przede wszystkim w postaci pieczonej w całości szynki i kielbas, a w najzamożniejszych domach można było zobaczyć na świątecznym stole także prosię pieczone w całości. Na te wszystkie smakowitości spraszano rodzinę, przyjaciół, a jeśli tylko było to możliwe, to także księdza. W okupacyjnych realiach z równie licznych spotkań trzeba było raczej zrezygnować. Gospodynie, mimo najszczerzych chęci, nie miały możliwości zastawienia stołu kopami pisanek i tradycyjnymi babami, które piekło się ongiś nawet z sześćdziesięciu jaj. Jerzy Duracz wspominał w jednej ze swoich książek, że kilo masła za okupacji potrafiło kosztować 180 złotych, a litr oleju – 100. Ceny te rosły szczególnie przed świętami, zmuszając ludzi do szczególnej oszczędności.

Kobiety starały się oczywiście, by znalazło się na Wielkanoc choć jedno jajo do tradycyjnego podzielenia się. Z resztą bywało różnie, nic więc dziwnego, że w podziemnych wydawnictwach przypominano przedwojenny tekst Stefana „Wiecha” Wiecheckiego poświęcony Wielkanocy. Najbardziej znany piewca warszawskiego folkloru pisał:

*Przede wszystkim jajeczko! Jest to danie religijne i do nażarcia się nie służy, znakiem tego nie należy z każdym jednym życzeniem całej sztuki opychać, ale, trzymając ćwiartki na widelcu, najmarniej dwie osoby nią załatwić.*

Parę lat wcześniej tekst ten stanowił satyrę na skąpstwo typowego mieszkańca stolicy, który nawet jajkiem nie chciał się dzielić z bliźnimi. Teraz dowcip przerodził się w smutny wymóg codzienności, a przeznaczanie jednego jajka dla dwóch osób w wielu domach uchodziło za wyjątkową wręcz rozrzutność.

Mięso na świątecznym stole też nie było oczywistością. W tym kontekście dość absurdalnie brzmią podawane przez prasę gadzinową przepisy na jego peklowanie czy też oszukane „wędzenie” (nadanie mu odpowiedniego posmaku i koloru bez udziału dymu). Podobnie – rozwodzenie się nad dobrym wyrabianiem ciasta i zanoszeniem go do piekarni w celu upieczenia.

Oficjalne gazety mogły sobie snuć sielankową wizję okupacji, jednak nasze babki zmuszone były żyć w tej przyziemnej i prawdziwej. I chyba tylko śmiały się pod nosem, czytając w „Nowym Kurierze Warszawskim”, że Wielkanoc upływa pod znakiem budzącej się wiosny. Tak naprawdę upływała pod znakiem galopujących cen... Gadzinówka rozwodziła się też nad tym, że ze względu na upał w Wielki Piątek ludzie odwiedzający Boże groby wykupili całą wodę sodową i lemoniadę. I pewnie było to

prawdą. Co jak co, ale całkowite wykupienie jakiegokolwiek towaru nie było pod okupacją ani wyjątkową, ani rzadką sztuką.

Urodzony w 1915 roku Tadeusz Żakiej, który pod pseudonimem Maria Lemnis i Henryk Vitry wydawał książki kucharskie, doskonale pamiętał, jak to wyglądało w rzeczywistości. We wstępie do publikacji *W staropolskiej kuchni i przy polskim stole* opisał, że Wielkanoc obchodzono w cieniu szalejącego terroru, niepewności życia i głodu:

*Wzruszenia towarzyszyły dzieleniu się tradycyjnym, wielkanocnym jajem. To nie były posiłki, albowiem nie mogły one nasycić głodu, lecz patriotyczne symbole, pomagające wytrwać, przetrwać i – doczekać.*

## A na pasterkę szliśmy rano

Boże Narodzenie pod okupacją zmieniło się w stopniu nie mniejszym niż Wielkanoc. Pod koniec grudnia 1942 roku Ludwik Landau notował:

*Za to ludność polska obchodzi święta pod każdym względem niewesoło – choć ostatnie wiadomości o wypadkach wojennych dodały trochę otuchy. Obroty na święta trochę się ożywiły; podniesione do niesłychanego poziomu ceny mięsa (100–120 zł za kg schabu, 500 zł za gęś itd.) nie wszystkich odstraszyły – ale jednak znaczna część przygotowanych na święta ilości pozostała dotąd nie sprzedana i w ostatniej chwili ceny chyba się gwałtownie załamią.*

Zdaniem niezawodnego kronikarza okupacji o nastrojach najlepiej świadczyło zarzucenie tradycyjnych świątecznych życzeń. Podczas wojny nikt nie mówił: „wesołych świąt!”. To stałoby,

jak wyjaśniał Landau, „w zbyt krzyczącym kontraście z rzeczywistością”. Przyjaciołom wolno było powiedzieć co najwyżej: „spokojnych świąt”. W obliczu ciągłego strachu przed łapankami, a nawet trafieniem w łapy gestapo, były to życzenia wyjątkowo szczere.

Najtrudniej było utrzymać fason w pierwszą wojenną Wigilię – niespełna cztery miesiące od chwili, gdy zawałił się dawny świat. Na żywej tkance miast i miasteczek aż za dobrze widać było ślady niedawnych walk. Nie zasypano jeszcze wszystkich lejów po bombach, nie usunięto gruzów, a wielu poległych nie znalazło godnego miejsca pochówku. Jak pisze Władysław Bartoszewski w swoim wspomnieniu, opublikowanym przez tygodnik „Stolica” w 1957 roku, ludność myślała o nadchodzących świątach z głębokim smutkiem. Klęska kampanii wrześniowej i coraz trudniejsze warunki bytowe odciskały piętno na nastrojach Polaków. W niezliczonych domach była to pierwsza, ale wcale nie ostatnia Wigilia z wieloma pustymi miejscami przy stole. Czary goryczy dopełniła okrutna zbrodnia Niemców. 27 grudnia 1939 roku w ramach odwetu za dwóch swoich funkcjonariuszy zabitych przez zwykłych kryminalistów zamordowali stu siedmiu mieszkańców warszawskiej dzielnicy Wawer.

Obok przygnębionych sytuacją Polaków Boże Narodzenie 1939 roku obchodzili także zwycięscy naziści. Już w połowie grudnia 1939 roku w Krakowie zaroilo się od bożonarodzeniowych akcentów. Gadzinówka „Goniec Krakowski” rozpisywała się o wzmożonym ruchu, o przekupniach z zabawkami choinkowymi, świeczkami, słodyczami i przede wszystkim z choinkami. Święta miały się odbyć jak zawsze – ale tym razem były to święta dla Aryjczyków i ku chwale Hitlera.

Mimo wszystkich przeciwności ludność okupowanego kraju nie traciła ducha. Życząc sobie nawzajem, aby kolejne święta



Skromne posiłki i atmosfera wyciszenia, która towarzyszyła polskim rodzinom w czasie świąt, silnie kontrastowały z przepychem, z jakim Niemcy manifestowali swoje panowanie w Warszawie. Na zdjęciu nazistowskie obchody świąt Bożego Narodzenia, grudzień 1940 roku.

można było obchodzić w wolnym kraju, już z początkiem grudnia zabierali się za przygotowania. Bożonarodzeniowe drzewko było jednym z najważniejszych elementów budujących świąteczny nastrój. W okupacyjnych realiach jego zdobycie i przystrojanie stało się nie lada wyzwaniem. Przyszły historyk i filmowiec, Wiesław Stradomski, wspominał, że w jego rodzinnym domu choinka była o połowę mniejsza niż dawniej. W dodatku kosztowała aż kilkanaście złotych.

Choć był to spory wydatek, każdy starał się zdobyć drzewko albo przynajmniej pęk jedliny. Kiedy już w domu roznosił się zapach igliwia, przychodził czas na ubieranie choinki. Tradycyjnie wieszano na niej świece, kolorowe cukierki, orzechy włoskie zawinięte w sreberka po czekoladzie, gwiazdki z papieru i kolorowej bibuły, watę imitującą śnieg, anielskie włosy i oczywiście bombki. Co konkretnie zdobiło choinkę, zależało od aktualnej sytuacji materialnej rodziny, ale też od wrześniejących bombardowań. W wielu domach po delikatnych bombkach zostały tylko połamane odłamki. Marek Kolendo, który wspomagał rodzinę, handlując na czarnym rynku papierosami, po latach wspominał choinkę z roku 1941:

*Niektóre zabawki i świecidelka były bardzo stare, kupione jeszcze przed urodzinami Jaśki. Część dotrwała, mimo obstrzału i zniszczenia domu w 1939 roku. Szczególnie trzy duże błyszczące kule, granatowe i zielona, zawsze wisiały na widocznych miejscach.*

Pod choinką domownicy wypatrywali prezentów. W czasie wojny były to raczej praktyczne drobiazgi, które przydawały się na co dzień, niż przedmioty zbytku. Dzieci cieszyły się także ze słodczy, których zwykle nie jadały.

Z całej świątecznej krzątaniny największą troską było jednak wigilijne menu. Czy w zwyczajnym domu, który był areną nieustannych zmagani gospodyni z brakiem podstawowych produktów, dało się w ogóle przygotować dwanaście tradycyjnych potraw? Stało się to wyczynem godnym mitycznego Herkulesa i niewiele osób było w stanie mu sprostać. Polegając tylko na oficjalnych źródłach zaopatrzenia, pani domu mogła przygotować co najwyżej smutny erzac Wigilii. Dlatego niemal wszystkie gospodynie korzystały z przedświątecznej oferty czarnorynkowej.



Chociaż nie zawsze udawało się zdobyć składniki na tradycyjne wigilijne potrawy, uroczysta kolacja w gronie rodziny i przyjaciół musiała się odbyć – podnosiła na duchu i pozwalała oderwać się od okupacyjnej rzeczywistości. Na zdjęciu wigilia świętowana w konspiracji, grudzień 1942 roku.

Wielu standardowych pozycji wigilijnego menu nie sposób było dostać. Śledzi nie ma, a karp i szczupak są absurdalnie drogie? Żaden problem. Rybę faszerowaną można w końcu zrobić i bez ryby. Da się ją przyrządzić na przykład z gotowanej soi, ewentualnie z jajek. Kiedy już udało się dostać rybę, najczęściej były to stynki – małe, zaledwie kilkucentymetrowe rybki, obecnie prawie niespotykane w sprzedaży. Środek zimy to akurat sezon ich połowu.

Na wielu stołach wigilijnych królował barszcz. Tę postną zupę łatwo i tanio można przygotować w warunkach domowych. Wystarczy nastawić odpowiednio wcześniej zakwas i w Wigilię tylko ugotować zupę. Jednak to nie barszcz zapychał brzuchy Polaków. Na wielkomijskich stołach gościły podczas tej uroczystej

kolacji... kartofle w różnych odmianach. Wspominał o tym w 1958 roku Władysław Bartoszewski:

*Apetyt zaspokajano plackami kartoflanymi na oleju lub po prostu kartoflami z surową cebulą (witaminy!). Chude ciasto z kartkową margaryną, w którym jaja zastępowano niekiedy dynią albo proszkiem jajecznym, pełniło obowiązki świątecznego deseru.*

*Co bardziej przedsiębiorcze gospodynie wypiekały pierniki z marchwią zamiast miodu, kogo zaś nie było stać na nadziewanie strucli makiem, wykorzystywał i w tym przypadku marchew czy też soję, nasyconą wonnym olejkiem. Bakalie i owoce południowe należały do rzadkości niedostępnych dla ogółu.*

Trochę lepiej było na prowincji. W małych miasteczkach, gdzie wiele było miejsc pod uprawy, łatwiej było o żywność. Także wieczerza wigilijna mogła być przeżywana w sposób tradycyjny: z dwunastoma potrawami, stołem na kilkanaście i więcej osób, głośnym śpiewaniem kolęd i zagładaniem do obory, czy zwierzęta nie zaczną mówić ludzkim głosem. Takie święta z 1941 roku zapadły w pamięć Marii Kwiatkowskiej, młodej dziewczynie, którą wojna skazała na tułaczkę wraz z matką i młodszym bratem:

*Świąteczny stół zastawiono na dwadzieścia osób, pod obrusem leżało świeże siano, a na stole dwanaście dań [...]. Wsiedleńcy nic prawie nie posiadali, a gospodarze – też nie za bogaci – uczciwie dzielili się tym, co posiadali.*

Były także rodziny, które z powodu niemieckich poczynań znalazły się w szczególnie trudnej sytuacji. Kiedy na co dzień nie miały co włożyć do garnka, nikt w nich nie czekał z radością na

święta i nikt nie spodziewał się ich uroczystego obchodzenia. Dotykało to w szczególności najmłodszych członków takich rodzin. Czasami rodzice, którzy całymi dniami ciężko pracowali, podejmowali jeszcze wysiłek przygotowania Bożego Narodzenia w tajemnicy przed dziećmi. Takie święta często zapadały w pamięć do końca życia. Jedne z nich opisała Anna Rosel-Kicińska. Jako mała dziewczynka została wraz z rodzicami wyrzucona z gospodarstwa położonego na nowym terytorium Rzeszy. Zimą 1940 roku, tuż przed świętami, przesiedlono jej rodzinę do marnej izdebki w lasach Lubelszczyzny. W oczy bardzo szybko zajrzał im głód. We wspomnieniach wydanych przez fundację „Moje Wojenne Dzieciństwo” Rosel-Kicińska zanotowała:

*Zbliżały się kolejne okupacyjne święta Bożego Narodzenia. My, dzieci, chodziłyśmy smutne. Wiedziałyśmy, że nie mamy na co liczyć. [...] W przeddzień wigilii rodzice wcześniej położyli nas spać, a sami siedzieli jeszcze przy stole. Zasnęłam, ale obudził mnie jakiś szelest. Palito się światło lampki.*

*Zobaczyłam wtedy, że tata po cichu oprawiał choinkę, ustawiał ją na stołeczku w rogu naszej izdebki. Mama szybko, jak zwykle, kleiła z kolorowego papieru długie, długie łańcuchy i ubierała nimi choinkę. Wieszala na niej malutkie jabłuszka. Będziemy mieli Święta – pomyślałam i szczęśliwa usnęłam.*

Według Anny Rosel-Kicińskiej to były mimo wszystko najpiękniejsze święta w jej życiu. Bożonarodzeniowa magia polegała nie na uginającym się od jadła stole, obfitości skarbów pod choinką i mnóstwie lampek na niej. Dzięki świętom Polacy odrywali myśli od wojennej codzienności i celebrowali czas spędzany z rodziną.



Jedną rzeczą była w tych wojennych Wigiliach zdecydowanie inna niż dawniej. Pasterka. Niemcy w okupowanym kraju wprowadzili godzinę policyjną. Kto przebywał na drogach i ulicach w czasie jej obowiązywania bez odpowiedniego zezwolenia, ryzykował życiem. Jak Polacy godzili te obostrzenia z tradycyjną mszą pasterską? I na to znalazł się sposób. Liturgię przesunięto na wczesny ranek. Dlatego w wielu domach, zwłaszcza tych, w których do stołu zasiadało więcej osób, biadowano, kolędowano i politykowano do świtu. Kiedy zegar wybijał właściwą godzinę, towarzystwo ruszało do kościoła. Po pasterce wszyscy rozjeżdżali się do swoich domów i kładli się spać po bardzo długiej nocy.

### Nieszampański sylwester

Niemcy zepsuli Polakom nawet sylwestra, a raczej zwyczajnie go... zdelegalizowali. Przed wojną w miastach urządzone były igrzyska szampańskie bale sylwestrowe i karnawałowe. Hulali biedni i bogaci. Różne grupy zawodowe urządzały własne przyjęcia, starając się, aby to ich zabawa była na ustach wszystkich. Jak mogli temu dorównać, obchodząc sylwestra 1939 roku, kiedy kraj był pogrążony w żałobie, a okupanci wylali ludziom na głowy kubelki zimnej wody w postaci surowych obostrzeń?

Komisarz miasta Krakowa, przy poparciu zwierzchnika oddziałów SS i policji, zakazał wszystkiego. Godzina policyjna z 31 grudnia na 1 stycznia zaczynała się w mieście o 22, bez taryfy ulgowej na składanie o północy życzeń noworocznych sąsiadom. W dodatku zabronione były wszelkie zabawy taneczne w lokalach prywatnych i publicznych. Także sprzedaż alkoholu znalazła się na cenzurowanym. Na całym terytorium



Nawet w trakcie wojny na krakowskim Rynku odbywał się tradycyjny jarmark bożonarodzeniowy, gdzie za wysoką cenę można było kupić ozdoby choinkowe i świąteczne przysmaki. Na zdjęciu Rynek krakowski ze straganami i oświetlonymi choinkami, grudzień 1940 roku.

Generalnego Gubernatorstwa w sylwestra od godziny 20 obowiązywał całkowity zakaz jego rozprowadzania wśród tak zwanej ludności miejscowej. Nie trzeba chyba dodawać, że Niemcy zabronili także odpalania fajerwerków i wszelkich innych form witania Nowego Roku.

Trudno się dziwić nastrojom, jakie panowały ostatniego dnia grudnia w polskich domach. Ludzie niby chcieli się bawić, jednak cały czas gdzieś z tyłu głowy brzmiały strzały rozlegające się na ulicach i kołatały się informacje o masowych mordach. Sylwestra 1943 roku w ten sposób zapamiętała Hanna Wustinger-Wodzicka, która siedem miesięcy później walczyła w powstaniu jako sanitariuszka. Napisała wprost:

*Atmosfera była napięta. Nasiliły się uliczne egzekucje, które starszym i słabszym psychicznie odbierały nadzieję na doczekanie wolności. Dla poprawienia nastroju postanowiliśmy urządzić Sylwestra. Tańczyło się przy płytach, ale niewiele z tego wychodziło. Niektórzy grali w brydża, inni rozmawiali o najważniejszych sprawach. Zbliżała się godzina 24.00.*

O północy zamiast fajerwerków rozległy się dźwięki *Mazurka Dąbrowskiego*, puszczonego na cały regulator z patefonu. O dziwo, nikt nie doniósł Niemcom i do drzwi nie zapukało gestapo.

O klasycznym świętowaniu przy suto zastawionym stole nie mogło być mowy. Szampan, niegdyś nieodzowny, teraz był towarem luksusowym. Na czarnym rynku można go było oczywiście kupić, podobnie jak inne gatunkowe alkohole, za ciężkie pieniądze. Ale to był produkt dla bogatych kanciarzy, szmalcowników i kolaborantów. W zwyczajnych polskich domach jako erzac porządnego alkoholu musiał wystarczyć swojski bimber pędzony w okupowanym kraju na potęgę.

Maciej Dobrzycki, urodzony w 1931 roku w Sosnowcu, wspominał po latach:

*Okolica słynęła z pędzenia samogonu, a już w naszym domu bimber był przedniej marki. Nasz lokator pan J. był mistrzem w tej branży, toteż*

*klientów mu nie brakowało. Za bimber można było „kupić” wszystko i dzięki temu bieda tak nie doskwierała.*

W kwestii picia nie oszczędzali się też żołnierze podziemia, i to bez względu na przynależność. Zarówno Armia Krajowa, jak i Gwardia Ludowa święta obchodziły przy alkoholu. Jan M. Jakubaszek, powstaniec warszawski, który musiał się ukrywać, ostatnie wojenne święta spędził z kolegami przy własnoręcznie pędzonym bimbrze. Nie ma raczej wątpliwości, że taką samą „księżycówką” oblewali także nadejście Nowego Roku. W swoich wspomnieniach, zatytułowanych *Mój ostatni rok wojny*, Jakubaszek zdradzał nawet metodę jego produkcji:

*Prymitywny sposób, ale z dobrym rezultatem. Użyliśmy do tego trzy miski. Pierwsza z zacierem, ustawiona była tuż nad ogniem, druga na alkohol, a trzecia z zimną wodą, na której skraplał się alkohol.*